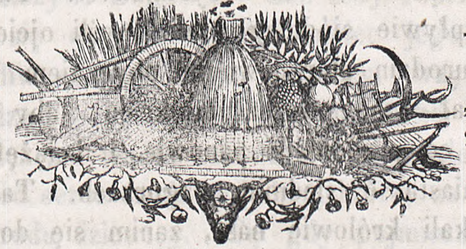
Tom I. Nr. 7.

1. Września 1859.

Wychodzi we Lwowie co 10 dni, to jest 1. 11. i 21. każdego miesiąca.



Kosztuje rocznie z przesyłką pocztową 2 zł. w. a., półrocznie 1 zł. w. a.

# DZWONEK

PISMO DLA LUDU.

Boga, dzieci, Boga trzeba,
Kto chce syt być swego chleba.

## Mieczysław i Dąbrówka.

Umarł ojciec Piast, doczekawszy się pięknego wieku, bo jak mówią, miał żyć sto i dwadzieścia lat. Po nim Ziemiowit objął panowanie nad Polską. A był to właśnie ten sam Ziemiowit, którego aniołowie jak wiemy, jeszcze w mieście Kruszwicy nad Gopłem jeziorem, gdzie ojciec był kołodziejem, z czystej wody ochrzcili. Ale iż nie miał później nikogo, coby go w św. wierze chrześcijańskiej pouczył i objaśnił, pozostał więc jak i jego ojcowie przy pogańskiem wyznaniu i modlił się swoim Bogom.

Ziemiowit zostawił po sobie Leszka, który niedługo pożywszy, zdał rady państwa na pierworodnego swego Ziemomysła. Temu narodził się był syn Mieczysław albo jak pod ten czas nazywano Mieszek, który go zrazu nabawił srogiego zmartwienia; przyszedłszy bowiem na świat, ślepym był. A to zrozumiecie, że dla ojca nie lada jakie nieszczęście! podobnież i w całym narodzie była z tego żałość wielka i nieukontentowanie. Spodziewano się bowiem kiedyś nieszczęsnego bezrządu, gdyby księcia z takiem kalectwem dostali na pana. Same już nawet nazwisko Mieszek, jakoby ten który męsza porządek w kraju, zdawało się wróżyć coś niedobrego po tym księciu.

Tymczasem cóż było robić! chłopię chowało się cudnie i rosło jak na drożdżach — gdybyż nie to kalectwo, mój Boże, jaka by to była pociecha dla wszystkich!... Tak mijał rok po roku. A po upływie siódmego lata myśli ojciec chłopięcia w rocznicę jego urodzin starodawnym obyczajem sutą wyprawić ucztę. Przekazał więc po całym kraju, aby na ten dzień pozjeżdżali się co przedniejsi panowie i książęta do Gniezna, królewskiego miasta o siedmiu wzgórzach. Tam bowiem na początku mieszkali królowie nasi, zanim się do Krakowa nad Wisłę przenieśli. Tłumnie zgromadzili się goście na zamku królewskim, książe raczył ich hojnie — ale podczas kiedy wszyscy inni podochoceni byli, i według tamecznego zwyczaju przy biesiadzie w dłonie klaskali z uciechy, ojciec, mając na sercu ślepotę syna swego, sam jeden siedział pochmurny i nic niemówiący.

Wtem nowina, ucieszna nowina! wpada na pokoje królewskie poseł od żony, donosząc, iż dziecko cudownym sposobem przejrzało. Jeszcze nie wierzy książę posłowi, aż tu matka dziwnie uradowana przypada do godowego stołu ze synem, który jasnemi jak niebo oczkami powitał ojca miłego i gości biesiadujących.

Dopieroż to było wesele, co i wypowiedzieć trudno!...

Radował się ojciec pan, radowali się i dostojni goście temu przytomni.

Pytał się potem król wieszczków pogańskich: coby oznaczać miał ten cud, sprawiony na jego chłopięciu? Ale wieszczkowie nie umieli mu na to odpowiedzieć. Wtedy ktoś poradził królowi, aby się zapytał pustelników, ludzi chrześcijańskich, mieszkających pod ten czas w Polsce ku nawróceniu pogan do wiary Chrystusowej. Dopieroć oni oświecili go w tej mierze, powiadając: że jako wszechmocna ręka Opatrzności dziś temu chłopięciu otworzyła ciemne oczy, tak kiedyś on, jako król wybawi naród swój z ciemnoty i otworzy oczy jego ku wiekuistej prawdzie. —

Po śmierci Ziemomysła, Mieczysław pierwszy tego imienia zasiadł na tronie polskim. Był on sobie poganinem jak i drudzy, miał nawet siedm żon, ale choć ich miał tak wiele, pan

Bóg nie pobłogosławił go na dzieciach. Na próżno bogate czynił Bogom swoim ofiary, nic mu oni na to poradzić nie mogli, jako że byli fałszywi Bogowie. Cóż tedy robi! oto niemyślący długo, udaje się on jak niegdyś ojciec jego Ziemomysł do onych świątobliwych mężów na puszczy, wzywając ich rady. A oni mu radzą: — Mieczysławie! poniechaj twoje niewiasty, z któremi żyjesz nie wedle zakonu Bożego, ale zwyczajem pogańskim, i zwróć serce twoje ku jednej, której na imię Dąbrówka, królewskiego rodu dziewicy. Tę gdy pojmiesz za żonę, Bóg ci pobłogosławi, i będziesz miał syna po sobie wielkiej sławy. —

Królowi przypadła ta rada do serca. Wiedział on że w sąsiedniem państwie u Czechów, król ich Bolesław miał córkę Dąbrówkę — więc duchem napędził siedm niewiast swoich, i do króla czeskiego słał posły z darami, dopraszając się jego dziewki bogobojnej dla siebie na żonę. Posłów polskich z darami przyjął Bolesław z otwartemi ramionami, i córki nie odmawiał bynajmniej, byle jeno, powiada, król polski porzucił Bogów pogańskich i dał się ochrzcić. Czeski bowiem kraj już natenczas wyznawał wiarę chrześcijańską.

Mieczysław chętnie na to przystał. Wtedy Dąbrówka z okazałym dworem świeckich i duchownych panów wyprawiła się do Polski. W Gnieźnie, stolicy państwa, powitał narzeczoną król w towarzystwie starszyzny narodu. Nim zaś przystąpił do ślubu, pierwej zrzekł się pogaństwa i przyjął chrzest święty — jak stare księgi o tem piszą, z rąk Bochowida kapłana czeskiego na dniu 5. marca 965 roku, więc blisko 900 lat temu. A za przykładem ukochanego pana swego wnet też i cały naród nakłonił się ku wierze chrześcijańskiej. W niwecz poszły bożnice pogańskie, w miejsce których na prędce stawiano krzyże święte, zaś Bogi fałszywe wnet rozbijano siekierami na proch, albo je na stosie palono, lub też w głębokich jeziorach i rzekach zatapiano. Długo jeszcze potem był taki u nas po wsiach i niektórych miasteczkach zwyczaj, że na białą niedzielę w poście ubierano snop konopi albo słomy w odzienie człowiecze, który wszystka wieś prowadziła gdzie było najbliżej jakie jezioro albo kałuża; tam dopiero zwlekano z niego odzienie i spiewając za-

łobliwie, wrzucano do wody; poczem każdy co tchu umykał do domu. Tym sposobem święcili ludzie pamiątkę nawrócenia swego do Chrystusa a pogańskich bożków zniszczenia.

Drugi zwyczaj w tym czasie przyjęty był, iż w kościele podczas Ewangelii dobywali nasi szabel do połowy z pochew, a co znaczyło że gotowi są umrzeć każdej chwili za św. wiarę.

I takci stało się po prawdzie, co byli rzekli oni świątobliwi mężowie z puszczy ojcu Mieczysława Ziemiomysłowi, o cudownem syna przejrzeniu: iż kiedyś on jako król wybawi naród swój z ciemnoty i otworzy oczy jego ku wiekuistej prawdzie.

Dotąd Polska rozdzielona była na małe cząstki, przez co nie miała żadnej mocy opierać się groźnym nieprzyjaciołom z zachodu, którzy się gwałtem wdzierali w jej granice. Dopiero za Mieczysława połączyła się ona w jedno wielkie królestwo i już wtedy lada komu przewodzić nad sobą nie dała. A trzeba wiedzieć, że na nieprzyjaciołach nigdy nam nie brakło, choć Bogiem a prawdą, radzi byliśmy żyć z całym światem w spokoju i z nikim nie zadzieraliśmy pierwsi. Kiedyśmy jeszcze nie wyznawali Chrystusa, wtedy obce narody na zachodzie, będąc już Chrześcijanami, zbroili się przeciwko nam, udając iż to dla krzyża św. czynią, aby nas do niego nawrócić. Tymczasem pokazało się, że to było wierutne kłamstwo, i że im nie chodziło o wiarę naszą, ale o nasz kraj chlebny i bogaty. Bo chociaż już cały naród się ochrzcił i staliśmy się wyznawcami tej samej religii co i oni, mimo tego nie zaniechali pierwej napaści, aż im się raz i drugi dostało setnie po skórze. To znowu później jako Chrześcijan napastowało nas srogie pogaństwo, i musieliśmy się znów temu przez wiele lat odgryzać. Jednem słowem byliśmy w ustawicznych obrotach, jeśli nie z tej, to z tamtej strony, każdej chwili trza było się mieć na baczności, aby nas kto nie opadł z nienacka — a krzyż i miecz, to było godłem naszego życia: w krzyżu szukaliśmy zbawienia duszy, w mieczu ciała naszego, i naszej ojczyzny zbawienia.

Skoro się św. wiara przyjęła na polskiej ziemi, król z królową poczęli fundować kościoły. Za ich to panowania powstały świątynie pańskie: w Gnieźnie, w Krakowie, w Poznaniu, w Kruszwicy i po innych jeszcze miejscach. Takoż hojnie zaopa-

trzyli je w potrzebne sprzęty i dochody, i posprowadzali na początek księży z za granicy, aby było komu nauczać lud świeżo nawrócony, i utwierdzać go w tej nowej dla niego religii. Także wyposażył Mieczysław pierwsze w kraju biskupstwo, którego siedzibą był Poznań, a pierwszym biskupem niejaki Jordan, kapłan wielce gorliwy w pozyskaniu wiernych pracowników do uprawy winnicy niebieskiej.

I owóż jak wielkie były zasługi Mieczysława króla i Dąbrówki bogobojnej żony jego. Nazywamy go zaś królem, chociaż mu obcy nie przyznawali tego tytułu, bo godzien on był choćby i najpierwszej korony, zwłaszcza kiedy go własny naród kochał i szanował.

Sprawdziła się też na nim i druga przepowiednia onych świątobliwych pustelników — i urodził mu się syn Bolesław, który po śmierci ojca, objąwszy panowanie nad Polską, stał się królem tak sławnym na cały świat, że go nazwano Bolesławem Chrobrym, czyli Wielkim.

A o tym Bolesławie powiemy wam za drugą razą.

## Trzy spiewki.

(*Złożył do składu Bartłomiej z pod Wiśnicza.*)

I.

### O pokrzywianym wieńcu.

Któż to weźmie Zosiu ten z pokrzywy wieniec?
— Weźmie go Jasienko, prześliczny młodzieniec —
Weźmie go za pracę, o! bo też pracuje:
Jak siędzie do kaszy, gęby nie żałuje —
Weźmie za pływanie, o! bo ślicznie pływa:
Oj! pływa po rzekach gorzałki i piwa!

II.

### O wielkim zuchu.

A nasz Antek wielki zuch —
Upił się, taj żyda buch,
Buch żydówkę, polowego —
Wszyscy uciekli od niego.

A nasz Antek wielki zuch,
Skok do ławy, ławę buch —
Nie zabił ławę na szczęście,
A pokrwawił sobie pięście.

III.

### O tem, jako nikt nie chciał pijaka i kłótnika.

Pójdziesz za mnie Kasiu? mówże jeno prędzej —
Tobym na zapowiedź zaraz dał pieniędzy!
— A chybababym Franku rozumu nie miała,
Abym sobie ciebie za męża wybrała:
Pierwszyś ty do szklanki, pierwszy i do bitki —
A tobyś ty ze mną robił sobie zbytki!

## WIERNY KOŃ.

(Z pogadanek starego rolnika.)

Bardzo temu dawno, kiedy więcej było stepów i odłogów niż uprawnej ziemi, i stada koni prawie dziko latały po łąkach i pastwiskach, był jeden gospodarz co się nazywał Przybysław, i mieszkał w Krakowskiej ziemi. — Miał on gospodarstwo i w niem śliczności stadko koni, wedle którego sam chodził, doglądał, ale najlepiej upodobał sobie gniadego ogiera, bo go wychował od maleńkości jakby psiaka i przezwał go białonóżką dlatego, że tylną jedną nogę miał białą po pęcinę. — Otóż bywało przyszedł do stada na łąkach, to jak ino się odezwał, zaraz białonóżka wychodził, podnosił głowę do góry, chrapami zaczął wietrzyć, i jak poczuł, że to pan jego, zawdy zarżał radośnie, ochotnie wierzgnął w górę nogami, i szust! jużcić przy swoim panie. — To go wtedy Przybysław głaskał, klepał, całował, a on go wąchał dokoła, i szukał chleba po kieszeniach. — W owym czasie nie było takiego wojska jak dzisiaj, ino każdy co miał zdrowe ręce był sobie oraz wojakiem, a kiedy wypadła potrzeba szedł i bił nieprzyjaciół; — więc Przybysław często z drugimi wychodził na wojnę, i zawdy pod siebie brał białonóżkę, bo powiadał, że jak na nim siedzi, to pewny jest, iż mu się nic złego nie zrobi.

I udało mu się cosić tak dwa razy; ale za trzecią razą, jak go zaczęli kłuć i rąbać, Przybysław pomiarkowawszy, że wiela złego na jednego, dał raptem w bok, i chlust przez pole do swoich. — Tatary za nim, ale gdzie ta gdzie, ani rady białonóżkę było zgonić, i jak dopadł równej drogi, to ino szumiało, ino dudniło, co tak leciał, że wszyscy het daleko się pozostawali, i wreszcie popowracali do swoich. Ale Przybysławowi poczęła krew ranami uchodzić, bo nie łada jako pogany go pokłuły; trzymał się ta jakiś czas jeszcze na koniu, ale wreszcie przymknął oczy, zsunął się z siodła, i padł jak nieżywy na ziemię, nie mogąc z siebie głosu wydobyć. — Białonóżka choć już luźny, także się zatrzymał, owąchał swego pana na wszystkie strony, jakby chciał zmiarkować, czy żyje jeszcze? a potem podniósł łba do góry, i oglądając się na wszystkie strony, zarżał raz, drugi i trzeci, jakby chciał kogo zawołać do pomocy. — Kiedy nikt się z ludzi nie pokazywał, poczciwe konisko znowu z wąchaniem do swego pana, i dalej znowu rżyć, i gdy tak cosić kilka razy powtórzył, z lasu, bo to się wszystko stało pod samym lasem, wyszedł pustelnik z długą białą brodą.—Białonóżka jak go zobaczył, tak zarżał radośnie, tak się zaczął cieszyć, że aż Przybysław oczy otworzył. — Pustelnik zwyczajny ludzkiej nędzy, miał przy sobie różne leki, wziął rannego do swojej pustelni, wygoił, wyleczył, i dopiero po wojnie puścił do domu. Ale w gospodarstwie Przybysław zastał same pustki, gruzy po budynkach, pola poniszczone, i całe stado koni zabrane tak, że biedaczysko został ino przy ogierze swoim, co go lubował jakby własne dziecko, bo on mu prawie życie uratował — i przy karabeli, co rani i kaleczy a chleba nie daje. Tak co robiący Przybysław, zafrasował się strasznie, i w tym żalu, w tem zmartwieniu przysunął się do białonóżki, i rzekł:

— „Oj! ty mój przyjacielu, po co przywołałeś rżeniem pustelnika, bo byłbym już zakończył mój nędzny żywot.“—Ogier wyciągnął się, zastrzygł uszami, i groźno spojrzał w swego pana, jakby się gniewał, że zabaczył o Bogu i przestał ufać Jego dobroci.

— „Gniewasz się na mnie?“ — mówił dalej Przybysław, a ogier zarżał raz jakby chciał powiedzieć — „tak, gniewam się.“

— „I ty już na mnie?“ — znowu odezwał się Przybysław, a ogier trząsnął łbem jak kiedyby mu mucha usiadła, i liznął swego pana po ręku, niby chcąc mu powiedzieć, że zawdy dla niego z jedną jest przyjaźnią. Wtedy Przybysław widząc w tem wszystkiem tak dziwne składanie się, że z koniem swym zupełnie jak gdyby się rozgadywał, rozrzewnił się w sercu, zdjął czapkę z głowy, i padając na kolana, zawołał wznosząc ręce do nieba:

— „Ojcze i Panie wszechmocny! który nie zapominasz o najmniejszym robaczku, ratuj mnie i wspomóż.“ Zaledwie te słowa wymówił, mój białonóżka jak nie skoczy, jak nie bryźnie pośledniemi nogami, jak nie zacznie różne wyrabiać susy, to skakać, to przysiadać na ziemi niby pies, to znów rżeć i przypadać do swego pana, że aż Przybysław rozweselił się, i nabrał otuchy, że przy pracy i modleniu się Bóg go wesprze i nie opuści. — Jakoż od tego czasu już Przybysław nie desperował, zabrał się do pracy, do orania roli, do siewu, do ściągania z lasu materjału na nowe budowle, w czem wszystkiem ogier był mu prawą ręką, bo choć koń nienałożony był do takich robót, ale równie wszystko nim robił Przybysław. — I przez to wszystko koń z człekiem stali się jakby jedność, i tak nawykli do siebie, że Przybysław ani na krok nie odstąpił białonóżki, a jeżeli czasem przez jaki czas nie widzieli się z sobą, to potem jak się zobaczyli, z uciechy ledwo się nie pozagubiali, bo koń rżał i rżał, lizał po rękach i owąchiwał swego pana, a ten klepał go, głaskał, całował, przykładał głowy do mordy, i przyciskał do piersi, obejmując za szyję. — Ludzie znali to wszystko, i strasznie zazdrościli mu takiego konia, bo to i piękny był i robotny. I raz jak się Przybysław zeszedł z jednym z sąsiadów, jak zaczęli przypominać stare dzieje a popijać miodem, bo wtedy jeszcze tej nieszczęśliwej gorzałki nie było, tak pociągnął sobie więcej jak wypada i do domu nie wrócił, aż dopiero z rana. — Biegł szybko i z wielką niespokojnością, bo przeczuwał, że go czeka jakieś nieszczęście, a jak zobaczył drzwi od stajni wyważone, zadrżał, przystanął, i zawołał żałośnie:

— „Koniku mój, koniku kochany! czyś chory, co się nie odzywasz?“

Ale wedle stajni cicho było i pusto, ino czasem drzwi zaskrzypiały od wiatru, co wisiały na jednej zawiasie. — Przybysławowi aż się włosy na głowie najeżyły, oczy stanęły kołem, serce zadrgało; wpadł do stajni, i omało nie zemdlał... stajnia była pusta. — Cały potem dzień zeszedł mu na szukaniu to po lesie, to po polu, po pastwisku, ale o koniu ani słychu dychu, przepadł jak kamień w wodę, i jak zaczął rozważać, tak poznał że mu ogiera skradziono.

Oj! ciężka też potem była dola Przybysława, bo przez wojnę stracił żonę, stracił dziatki, całe mienie, zdrowie, postarzał się, posiwiał, przygarbił, i wreście stracił takie poczciwe bydlę, co prawie było mu drugim przyjacielem i pomocnikiem we wszystkich robotach. — Strasznie więc posmutniał, a jak sobie wspomniał wszystko z dawności, tak często choć staremu łzy pociekły po twarzy, bo czuł, że sobie żadnej nie da rady, i na stare lata czeka go nędza, a może i kij żebraczy. — Często więc siadał pod krzyżem, modlił się, spiewając pieśni nabożne rankiem i wieczorami, a pomiarkowawszy że nieszczęście go spotkało przez opicie się, wyrzekł się na całe życie picia, i znowu wziął się do pracy. — Ale w gospodarstwie co poradzi bez jakiej takiej szkapiny? Więc ciężko mu było strasznie w robocie, nieraz aż ustawał, a jednak w gospodarstwie mało co przybywało.

I tak przechodził tydzień za tygodniem, miesiąc za miesiącem, i coraz cięźej było już niemłodemu Przybysławowi, aż wreszcie postanowił pójść na piechotę do krewniaków swoich, co może jakie ze trzydzieści mil od niego mieszkali, i prosić o przytulisko na stare lata. — Rano więc ubrał się schludnie, przepasał szablę do boku, małe zawinięcie przerzucił na plecy, obszedł wszystkie kąty, przy każdem drzewie, przy każdym krzaku zapłakał, jak sobie przypomniał różne rzeczy z dawności, a najbardziej w stajence, gdzie stawał białonóżka, i przeżegnawszy się, i pożegnawszy się z ojcowizną, ruszył drogą pod krzyż, co stał pod lasem okryty drzewami, aby jeszcze tam zdala od ludzkiego oka pomodlić się na drogę. Kiedy się tak modli, płacze i bije w piersi, żałując za dawne grzechy, i prosząc Boga o zmiłowanie i błogosławieństwo

na drogę, zda mu się usłyszyć jakby daleki szum w lesie, jakby jakie tętnienie czy dudnienie po twardej drodze.

Nadstawił uszu, tętnienie się coraz powiększało i zbliżało ku niemu, że wyraźnie poznał iż pochodzi od wielkiej liczby koni, co lecą gościńcem.—Nie mogąc zmiarkować coby to było, a zwyczajny napadów tatarskich, bo w owych latach od czasu do czasu, jak jacy zbójcy cichaczem wpadali Tatarzy do naszej Polski, i napaliwszy wiosek, narabowawszy i nabrawszy ludzi w niewolę, uciekali potem do swego kraju; w pierwszej chwili zdało mu się, że to pewnikiem muszą być Tatary. — Więc wydobył szablę, zrobił znak krzyża Śgo, westchnął nabożnie, i odmawiając pacierz, przygotował się do obrony, bo dziki ten naród nikomu nie folgował. Kiedy tak stoi myśląc, że już przyszła jego godzina, a tu już tuż tuż dochodzi do niego szumienie, rżenie koni, tętnienie kopyt — bo Tatarzy zawsze się wielkiej kupy trzymali — niedaleko niego mignęło się cosić między krzakami. — Spojrzał z za krzaków ostrożnie żeby go nieprzyjaciel nie dojrzał, patrzy, a to jakiś gniady koń bez siodła i uzdy zupełnie luźny, i prawie podany na jego białonóżkę, stoi na polu obrócony przodem do lasu, i łeb trzyma górą, strzyże uszyma i kiedy niekiedy cichaczem ale radośnie porżywa. Kiedy Przybysław nie mogąc pokalkulować, co to wszystko znaczy i bojąc się wyjść z ukrycia, myśli i to i owo, aż tu z lasu, moi ludzie, jak się zaczną sypać konie, wszystko luźne bez żadnej wyprzęży, i kare, i gniade, i bułane, a wszystko śliczności, może po sto dukatów każdy; tak Przybysław myślał że to sen jaki, bo wiedział, że w okolicy nikt tyle koni pięknych nie miał. — Więc przetarł oczy i het patrzy! a tu co który koń wyleci z lasu to przypadnie do tego najpierwszego gniadego, owącha go, zarży, przeciągnie się, i stanie wedle niego. — Dosyć moi ludzie, że Przybysław narachował cosić z pięćdziesiąt takich koni a że już miał od młodości upodobę wielką do koni, tak wspomniawszy sobie białonóżkę i stadninę, zabaczył i o Tatarach i o swojem nieszczęściu, z radością wyskoczył z za krzaków, i poszedł ku stadu wołając: — „Koniki, moje kochane, moje poczciwe koniki! nie macie tam między sobą mego białonóżki?“

Jak to Przybysław wyrzekł, w stadzie między końmi tylko się zakotłowało i ten najpierwszy gniady, co wszystkich za sobą przyprowadził, zarżał radośnie, wyskoczył ze stada i we dwóch susach tuż stanął przy Przybysławie.—Ten spojrzał i nie chciał swoim oczom uwierzyć, bo w gniadym poznał swego ukochanego ogiera białonóżkę, — Jak go też nie złapie za szyję, jak go nie zacznie całować, to tak jakby z radości w głowie mu się co popsuło. — A gniady stał, rżał, owąchiwał swego pana, lizał go po twarzy, po rękach, a reszta koni chodziło dokoła, przypatrywały się, i jaki taki machnął ogonem, wierzgnął pośledniemi nogami, i bryznął po polu z uciechą.

Kiedy się Przybysław już nacieszył ze swoją zgubą i z gniadym powracał, ten wyskoczył naprzód, i prościutko wyruszył ku domowi, a za nim całe stado. — I wszystkie te konie zostały przy Przybysławie, bo one były nie z naszego kraju, tylko z dalekiego, za górami, za lasami, jakich nawet nie ma w naszej Polsce. Tam to złodzieje co ukradli białonóżkę, zaprowadzili go i przedali, a że z Przybysławem tak przestawał gdyby człowiek z człowiekiem, więc jakoś był rozumniejszy od innych koni. — Dlatego jak go wpędzili do stada, tak pomału wszystkie go konie polubiły i gdzie się ino obrócił, tak całe stado za nim, że nieprzymierzając był nad niemi jak jaki starszy. Jak więc zatęsknił do domu i do swego pana, tak wyprowadził całe stado za sobą, i przez pola, góry, lasy, ze wszystkiemi doleciał do Przybysława właśnie wtenczas, kiedy ten zabierał się w daleką drogę. — Stado to rozprzedane między panów zbogaciło go bardzo, i był potem szczęśliwy, a białonóżkę jeszcze lepiej kochał. Żył potem długo, a ludzie na pamiątkę, żeby się inni nauczyli, co to za poczciwość jest w koniach, i jak się należy z niemi obchodzić, zapisali to wszystko w książki; ja jak czytałem, tak wam opowiedziałem.

*Jan Kanty Gregorowicz.*

# O PÉRZU.

## *Gawęda gospodarska.*

— Tak, tak, wy swoje, ja zaś swoje! mówił Maciek do Wacha, wracając z jarmarku z Gostynia. Pérz, zwyczajnie pérz, jak się już gdzie zaweźmie, to go się trudno całkiem z roli pozbyć. Ot na ten przykład ja sam, com go już z swego pólka, co go mam na zagumienku, nie nawywalał — na fornalski wóz byś tego nie zabrał, a przecie rok w rok jak był, takci tam i jest. Widzicie, miły Wachu, to już rolą idzie.

— O! jużci mi tego nie gadajcie, miły sąsiedzi! rzekł Wach, że to rolą idzie; ja wam powiadam że to nie rolą idzie ale uprawą. Gdybyście byli wasze pólko dobrze, wcześnie i za pogodę uprawili, tobyście tyle pérzu nie mieli, jak was kocham — tak prawda. Idźcie tylko zobaczyć, a będziecie widzieć, że się pérz na niem lepiej zieleni jak Szymkowa ozimina.

— Prawda że były słoty, kiedym rolę uprawiał, padało i padało jak na uwzięcie — to cóż było robić! zwlekać było niepodobna, bo i tak się dobrze opóźniłem ze siejbą: więc chcąc nie chcąc musiałem uprawić jak bądź i zasiać na to mówiąc w błoto.

— Toż i na drugi rok, da Bóg doczekać — przerwie Wach, znowu nic nie będziecie mieć na roli, tylko pérz.

— A no, jużcić że będzie, bom go w miejscu zostawił a nie zwoził do domu tak jak wy; na kiegoż bo mi licha po pérzu!...

— Ha, jak sobie kto pościele tak się i wyspi — rzekł Wach; wolna wola każdemu robić jak się mu spodoba.

— Ależbo, miły Wachu! zagada pilno Maciek — rzeknijcie mi też szczerą prawdę: co wy z tym pérzem w domu robicie? wszak do niedawna jeszcze zapamiętam, żeście go tak samo nie potrzebowali jako ja dzisiaj.

— Prawda! na to Wach — dawniej, to jakem pérz pozbierał z roli, tom go na drogę wyrzucił, ale od dwóch lat to go suszę jak siano i do domu zwożę. Mój cioteczny służył był za dawnych lat u Francuza, co to z całym światem wojował. Jak się wojna skończyła, nie wrócił nazad do domu, ale został

gdzieś we Francyi, ożenił się, i było mu z początku nie źle. Potem żona mu bezdzietnie umarła. On też nie wiele myślący, poprzedał co miał, i wrócił do kraju, bo to powiadają: wszędzie dobrze a w domu najlepiej. Przed trzema laty spotkaliśmy się ze sobą w naszem mieście, w sam dzień Matki Boski siewnej. Nie gadać wam, jaka była z tego uciecha i dla mnie i dla niego. Zaprosił mię potem na św. Marcin do siebie na kiermasz, bo się już był znowu ożenił; pojechałem z moją i ze starszym chłopakiem. Otóż tam przy gawędce o tem i owem, zgadało się coś i o pérzu. I powiadał mi, że we Francyi gdzie on był, gospodarze pilnie zbierają pérz, suszą go, potem w stodołach młócą i dobrze wytrząsają, aby go zupełnie ze ziemi ochędożyć, i tak go potem bydłu dają jako paszę. Dziwno mi się to zdawało, ale nic nie mówiący, myślę sobie: poczekaj! nie wielka rzecz spróbować, a zobaczymy jaka w tem prawda. Skoro też w domu, zaraz się zabrałem do próby — i przakonałem się, że wszystko prawda co gadał mój cioteczny o pérzu. Od tego też czasu już go nie marnuję, ale osuszywszy na słońcu, zwożę do domu i bydło nim karmię.

— Hm, hm, mój sąsiedzie! zaczął bąkać Maciek, to mi się jakoś w głowie nie może pomieścić.

— Czemu? zapytał Wach, alboście to jeszcze nie widzieli że bydło, gdy się je pędzi przez ugor, a napotka na kupę pérzu suchego, to stawa i żre.

— Ba i nie raz.

— No to i czegóż więcej chciecie! kiedy w lecie choć przy trawie, a nie kole go pérz w język jeno sobie w nim smakuje, cóż dopiero mówić o zimie. Przytem zaręczyć wam mogę, że jako smaczny jest, tak i zdrowy dla bydła, bo dzięki Bogu już od dwóch lat pasę nim moją chudobę, i nie widzę żeby jej miało co szkodzić. Ale, ale, właśnie też przypominam sobie co mi łońskiego roku opowiadał Jędrzej z Ostrowa; podobno i wam on znajomy?...

— O! taże go znam.

— Owóż, powiadał mi on, jako przed rokiem na jarmarku w Odolanowie kupił był krowę od biednej komornicy. Zaręczono mu że zdrowa była i dobra dójka. Skoro ją przygnał do

domu, zawołał na swoją, aby ją wydoiła. Więc żona biegnie ze skopkiem, rzuca krowie dobrej trawy, że to było latem, i dalej zabiera się do dojenia. Tymczasem krowa ani żre, ani mleka dać nie chce. Dziwno im to bardzo, ile że krowa miała wielkie i nabrane wymię, i zresztą komornica za nią ręczyła iż dobra. „Co to jest, zdrowo wygląda; czy czary jakie czy co?“... powiada Jędrzej. — Ale, czary! zawoła jego wybuchając gniewem — nieponiaś kupił, teraz sobie dój. „O moja matko, rzekł gospodarz, tylko się zaraz nie rzucajcie; poczekajmy do jutra, a jeżeliby nie chciała dawać mleka, toć ją odprowadzę komornicy, bo wiem gdzie mieszka i kto ona jest.“ Nazajutrz sama gospoś poszła do sadku, nażęła świeżej trawy i znowu ze skopcem do krowy. I znowu takie same historje co i wczoraj; krowa ani trawy się nie tknie na prawdę, ani mleka dać nie chce. Rozgniewana gospodyni wyhałasowała swojego: „a ty taki, a ty owaki!“ tak że biedny Jędrzej spuciwszy uszy po sobie, i nie mówiąc już nic, łap czemprędzej za krowę, i odprowadził ją do komornicy, od której był kupił. — A wy co chcecie, zdziwiona zawoła komornica, gdy jej przed chałupę przyprowadził krowę. „Ha moglibyście się też i wstydzić, oszukiwać ludzi — powiada Jędrzej, macie waszą krowę a oddajcie mi pieniądze. Powiedzieliście że ta krowa dobrze doi! pięknie to tak, kiedy nie prawda.“ — Co wy gadacie! na to jemu ona niewiasta; ta krowa mleka nie chce dawać?... „A jużci że nie, kiedy powiadam, rzeknie Jędrzej; przecie się nad wami zdziwiać za durno nie przychodzę.“ — Czy oszalał czy co? mówiła sama do siebie komornica, i nie wiele myśląc pobiegnie po skopek do izby a potem zarzuciwszy krowie naręczko wysuszonego pérzu, zaczęła doić. Krowa przegłodzona, ledwo się nie udawiła, tak żarła; a komornica musiała drugi skopek przynieść, bo jeszcze jej była do połowy nie wydoiła, a już pierwszy skopek był pełny. „No, mój ty miły Boże! zawołał Jędrzej, patrzący na to wielkiemi oczyma; toć jej moja dawała jak najlepszą trawę a żreć nie chciała, a tu pérz żre aż się prawie dławi, i mleka jak daje tak daje.“ Na to komornica z uśmiechem: Nie dziwno mi teraz, kiedy was tak słyszę mówiących, że moja krówka nie dała waszej mleka, boć u biedniej komornicy nie nawykła ona do tra-

wy, jeno się na pérzu chowała. „Ho! kiedy tak moja kobieto, to mi darujcie, żem was posądził. I u mnie pérzu nie braknie, może go żreć ile jej się będzie podobało." Poczem Jędrzej odprowadził krowę nazad do siebie i powiedział żonie jak się rzecz miała. Nie chciałać ona z początku wierzyć temu wszystkiemu, ale się potem sama naocznie przekonała, że krowa tylko do pérzu przyzwyczajoną była. Dawała go jej codziennie, mięszając po trosze z trawą. Krowa wybrała perz, a trawę zostawiła; później jednakże powoli i do trawy nawykła.

A co, miły sąsiedzie! przyznacie mi teraz, że pérzu marnować się nie godzi?

— Hm, hm.. bąknął sobie Maciek pod nosem, pokręcając tędy i owędy głową.

— Jeźli zaś mnie nie wierzycie, zakończył Wach — to popytajcie o tem samego Jędrzeja

## RÓŻNOŚCI.

**Niedobre lato.** Rzadko którego roku uwinęli się ludzie tak pilno ze żniwami jak tego lata. Cóż, kiedy podobno jak słychać ze wszystkich stron niekoniecznie dobrze urodziło, zwłaszcza na ziarno. Wydatki oziminy prawie wszędzie kiepskie, ziarno mizerne; zato wprawdzie słomy obfito, więc niby dla bydła pociecha, jeno że postna, strasznie postna ta słoma, bo co było w niej ziela i trawy, to się na słońcu starło ze wszystkiem, prawie na tabakę. Ziemniaki jak dotąd, powszechnie sobie chwalą; daj Boże, żeby choć one nie zawiodły i nie zechciały się psuć jak po inne lata. Dziwneż bo i to lato! upały jakich dawno nie zapamiętano; po wielu miejscach za granicą padali ludzie przy żniwie, słońcem na śmierć porażeni; na naszem Podolu pastwiska, kędy po inne czasy bydło brodziło w trawie po kolana, teraz na piękne wyprzały, siana przez pół mniej zebrano niż zwykle, a o otawie ani myśleć. Jeźliż się znowu gdzie w której okolicy zebrały chmury, to nie na dobrodziejstwo ale na strach i na nieszczęście ludzkie, bo zaraz zrywała się burza, grad bił na pola, i pioruny trzaskały, zapalając domostwa i często zabijając ludzi. Na ten przykład weźmy jeno jedną cząstkę kraju na uwagę, tę co leży po za Lwowem ku wschodowi; i posłuchajmy ile to w tych ostatnich czasach zdarzyło się smutnych wypadków z przyczyny piorunów i gradu. I tak:

W okolicy **Wołosowa**, w obwodzie Stanisławowskim srożyła się na dniu 9. lipca straszna burza z gradem, który znaczne poczynił szkody w tamtejszych ogrodach i na polach. Ta sama burza nawiedziła dwie inne wsie tego obwodu, **Majdan średni**

Glinki i dała się tam setnie ludziom we znaki. W dwa tygodni później w Brzeżańskiem spadł grad tak wielki jak kurze jaja, toć zrozumiecie ile tam pracy ludzkiej w niwecz poszło Najbardziej ucierpiały wsie: Jaszkowce, Jadwiegi, Dziewiętniki, Kniesioło i Berteszew, gdzie wszystkie łany tak dworskie jak i kmiece zmłóciło na piękne. Tegoż dnia w okolicy Szczerca w Lwowskim obwodzie taką samą burzę doświadczyli ludzie, ponosząc wielkie szkody w zasiewach. Ale właśnie najsmutniejszej doli doznały wsie w obwodzie Samborskim: Łomna Berecko, Żukotyn, Jasienica i wiele innych. Tam bowiem nie dość że grad był, ale się jeszcze chmura na dobitek urwała. Co grad nie wybił, to woda zalała, bo wszystkie strumyki jednej chwili wezbrały tak mocno, że daleko do koła, gdzie były najżyzniejsze pola i łąki, nie widziałeś nic jeno woda i woda, gdyby jakie morze. Żaden się też mostek nie ustał przed tą falą, nawet dom jeden włościański zabrało, przytem kilkoro ludzi utonęło i także wielka moc bydła.

W tymże miesiącu lipcu na początku zabił piorun w *Wierzbowcu,* w obwodzie Czortkowskim *pięć kobiet,* trzy zaś innych uszkodził. Znowu 20. lipca we wsi *Jabłonicy* w Stanisławowskiem zginął jeden gospodarz tamtejszy od piorunu. Pracując na polu, schronił się on był w czasie burzy pod drzewo, co właśnie było najgorzej, i tam nieboracze doczekał się niespodzianej śmierci. Podobnież od piorunu zginęła niewiasta z *Bałuczyn* w obwodzie Złoczowskim. Zaś w Milnie, wsi tegoż obwodu o godzinie 2. zrana wśród strasznej burzy uderzył piorun w topolę przy plebanii i niebawem po raz drugi w pomieszkauie plebana, które ze wszystkiem spłonęło; ale szczęściem jakoś nikt przytem nie zginął. Dwa inne pożary od piorunu zdarzyły się przy końcu lipca, w obwodzie Kołomyjskim: pierwszy w *Albinówce,* gdzie zgorzała stodoła z młocarnią i dwie szopy; drugi w *Rusowie,* tam znowu trzy chałup, stodoła i dwie szopy poszły z dymem. W *Sławsku* w Stryjskiem zapalił piorun chałupę i zabił czteroletniego syna właściciela. W tym samym czasie w sąsiedniej wsi *Wołosiance* spalił piorun całe obejście jednego kmiecia. Nareszcie 6. sierpnia zginął czternastoletni chłopak z *Nowosiółek kardynalskich* w obwodzie Żółkiewskim od piorunu. Jechał on sobie po konopię na łąkę, gdy go w tem burza zaskoczyła na drodze a zarazem i śmierć.

Owóż w tak krótkim czasie ileż to nieszczęść sprawiło naszym ludziom to lato! a toć zato *niedobre lato!*

## Dawne przysłowia i przypowieści.

1. Kto pod kim dołki kopie. sam w nie wpada.
2. Komu Bóg pomaga, ten wszystko przemaga.
3. Dobre daleko słychać, a złe jeszcze dalej.
4. Nosił wilk, nosił niedziel kilka;
   Za niedziel kilka, nieśli też i wilka.

Redaktor: **B. Bielawski.** Odpowiedzialny wydawca: **E. Winiarz.**